



Wojciech Szymon Kowalski

Główny Ekonomista

INVESTcon GROUP S.A.

BERLIN OBJĄŁ STERY, ALE PARYŻ NIE ROZPACZA!

Taka paralela jest pewnie obrazoburczą, ale ów hurra optymizm, jaki wybuchł po środowo-czwartkowych uzgodnieniach w sprawie zażegnania kryzysu w strefie euro, nieodparcie przypomina wypowiedź pewnego dżentelmena sprzed lat. Nazywał się on Arthur Neville Chamberlain, był premierem Wielkiej Brytanii, i w 1938 r. po konferencji monachijskiej opowiadał, że „uratował pokój dla swego pokolenia”. Obecny spryt francuskiej dyplomacji, wprawdzie podyktowany świadomością własnych ograniczeń, polega m.in. na tym, że z jednej strony – tym „złym wujkiem” (a właściwie „surową ciotką”) wymagającym bolesnych wyrzeczeń będzie Berlin, a nie Paryż. Z drugiej strony – tak w razie czego – jeszcze bardziej niewdzięczną robotę syndyka masy upadłościowej dla strefy euro - wykona słynąca przecież z rzetelności i skrupulatności Republika Federalna Niemiec. Jej też, odpukać – przypadnie rola bijącego się w piersi przed wierzycielami/obligatariuszami (zwłaszcza tymi spoza Europy), gdyby coś poszło nie tak. Trudno temu bowiem zaprzeczyć, że główny środek decyzyjny w Europie został w ubiegłym tygodniu przesunięty niejako formalnie nad Szprewę. W 1994 r. ówczesny kanclerz Niemiec - Helmut Kohl w programie stacji telewizyjnej ARD przypomniał pewne nauki o roli i strategii Niemiec, jakie otrzymał będąc początkującym politykiem i posłem od samego Konrada Adenauera. „Przez 50 lat zadzieraliśmy nosa w Europie. Teraz na 50 lat musimy przykucnąć. To nie jest rezygnacja z niemieckich interesów, tylko nie musimy każdego dnia wychylać się z

okna i ogłaszać całemu światu: jesteśmy kimś, jest nas 80 milionów, jesteśmy gospodarczo najsilniejsi. O tym wszyscy wiedzą (...) musimy być psychologicznie zręczni”.

Potem w podobnym duchu głos zabierał Karl Lammers, od 17 lat poseł CDU do Bundestagu: „musimy przewodzić tak, aby nikt tego nie zauważył”. I choć wielu nad Renem może być na swój sposób ukontentowanych w wyniku przejściem eurolandowych sterów przez RFN - to i w Niemczech nie brakuje dystansu i historycznej refleksji. Także o tym, że traktat z Maastricht grzebiący *Deutsche Mark* i odsyłający do lamusa dzieło Ludwiga Erhada oraz jego następców jest poniekąd trzecią kapitalizacją Niemiec przed Francją w ciągu ostatnich 100 lat. Będąc osobliwym, bo na własne życzenie - „sukcesorem układów z Wersalu i Poczdamu”.

Pomimo skali obecnego kryzysu i bardzo dobrej na tym tle kondycji ekonomicznej Niemiec - można ośmielić się o przypuszczenie, że rzeczywiste skutki odejścia RFN od własnej waluty nie zostały jeszcze w pełni uwypuklone. Jednocześnie mało kto u nas wie, że w poprzedniej dekadzie - elita niemieckich profesorów ekonomii (w liczbie ponad stu) podpisała się pod petycją o szkodliwość euro. Krytycznie warto także podchodzić do tego o czym m.in. piszą też niektóre nasze renomowane tytuły prasowe - „karmiące” jednocześnie tą wiedzą rodzimych ekspertów. Czytając o tym, np. że: „Francja to kraj o rozbuchanych prawach socjalnych, ogromnej armii funkcjonariuszy państwowych i

niezwykle wpływowych związkach - nie zdobył się na reformy strukturalne, które pozwoliły mu na zachowanie konkurencyjnej gospodarki”. Trzeba jednocześnie wiedzieć, że pomimo tego, że dolarowy PKB *per capita* (wg parytetu siły nabywczej) jest w Niemczech o ok. 2 tys. USD wyższy niż we Francji, to tak zwana społeczna wydajność pracy, którą legitymuje się Francja - jest, i to od co najmniej od 15 lat, wyższa od Niemiec. W 2010 r. było to skromne 23 %, stając się jeszcze jednym wymiernym kosztem wchłonięcia byłej NRD. W sferze pekuniarnej będzie to odczuwane na pewno przez tę i może jeszcze kolejną dekadę, Mentalnie zaś - zdaniem niemieckich socjologów, potrwa to lat jakieś dwieście. Kto by temu niedowierzał niech spojrzy na Polskę i różnice w naszym „pejzażu etnicznym”, który ukształtowany został przez granice zaborów. I mimo, że od daty odzyskania niepodległości minęły już 93 lata - to rzeczony dysproporcje nie tylko, że są, ale końca ich nie widać.

Od kilku lat na tych stronach ukazywały się jakiś słowa komentacza związanego z przyznawanymi w danym roku Nagrodami Nobla w dziedzinie nauk ekonomicznych. Jeśli chodzi o ten rok - to nie brakuje opinii, że nic by się nie stało, gdyby laurów w ogóle nie rozdano. Jest to niewątpliwie pogląd krzywdzący, choćby dlatego, że na polu innych dziedzin, a zwłaszcza literatury - prawdziwe kontrowersyjne wizji świata - ostatnimi czasy na pewno nie brakowało. Tym razem przyznając nagrodę z ekonomii

Thomasowi J. Sargentowi i Christopherowi A. Simsowi - „za empiryczne badania nad przyczynami i skutkami w makroekonomii”, postanowiono docenić ich benedyktyński empiryczny trud. Choć akurat z tymi empiriami - to przynajmniej u jednego z tegorocznych Noblistów jest różnie. T.J. Sargent zapytany o badania, które mogłyby wyjaśnić obecny kryzys, wiele miejsca poświęca odkryciu tego, że ubezpieczenia depozytów bankowych mogą działać na zasadzie tamy przed rozszerzaniem się paniki.

Jak zauważa John Key, znakomity publicysta „Financial Times” Noblista ów - powinien wiedzieć, że Federalna Korporacja Ubezpieczeń Kredytowych już istnieje i to od półwiecza! Dlatego też należy w tym miejscu wyrazić nadzieję, że w niedalekiej przyszłości nagroda szwedzkiego banku centralnego powinna znów trafić do Niemiec lub w ogóle jednego krajów niemieckojęzycznych. Pierwszym i zarazem ostatnim laureatem tej nagrody wśród uczonych z Niemiec jest urodzony we Wrocławiu (w 1930 r). profesor Rein

chard Selten, noblista z 1994 r. wraz z Johnem F. Nashem (tym od „Pięknego umysłu”) i Johnem C. Harsanyi`m. Niemniej i na tym polu – Francja ma przewagę nad swym wschodnim sąsiadem, gdyż prowadzi z nim 2:1. Punkty dla „Trójkolorowych” zdobywali w 1983 r. – Gerard Debreu, a w 1988 r. – Maurice Allais.

Wojciech Szymon Kowalski